

JERZY SIEWIERSKI

MASKA SZATANA



 SAGA
EGMONT

JERZY SIEWIERSKI

MASKA SZATANA



 SAGA
EGMONT

Jerzy Siewierski

Maska szatana

Saga

Maska szatana

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1992, 2021 Jerzy Siewierski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726951028

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Było mglisto, zimno i ponuro. Mokre i nagie, czarne gałęzie dębu wyciągnięte od ściany lasu nad piaszczystą, wiejską drogą, sprawiały wrażenie groźnych węży, gotujących się do śmiertelnego ataku na drepczącą po piachu starą kobietę, w chustce na głowie. Józefa Biernacka miała szaroniebieskie, pozbawione wyrazu oczy. Jej chuda, poradlona głębokimi bruzdami zmarszczek twarz przypominała trupa czaszkę obciążoną wyschłą i wymiętą skórą. Biernacka wracała ze sklepu, dźwigając w siatce wielki bochen chleba.

Droga wiodła skrajem lasu. Ponury masyw czerni, podbity brązowo-żółtym dywanem wyschłych liści i traw, sprawiał w ten grudniowy, bezśnieżny poranek, nieprzyjemne, wręcz odpychające wrażenie. Od czasu do czasu zrywał się silniejszy wiatr i wtedy od lasu dobiegały pojękiwania targanych jego porywami gałęzi, i szelesty sprawiane przez zeschnięte liście przerzucane podmuchami z miejsca na miejsce. Po drugiej stronie drogi rozciągały się uprawne pola, bure teraz i gołe, oznaczone krechami redlin zmierzającymi w kierunku zasnutego mgłami horyzontu. Od tej strony, w pewnym oddaleniu od drogi, ciągnął się rzadki i nieregularny szereg chat i zabudowań gospodarczych. Kiedy Biernacka mijała kolejne obejścia, odzywały się psy, a w niektórych oknach pojawiały się twarze ludzi, ciekawych kogoż to psy oszczekują.

Nagle na drodze, tuż przed Biernacką pojawiła się mała dziewczynka. Obok niej biegł mały, łaciaty piesek. Dziewczynka wybiegła na drogę ze ścieżki skrytej za wielką, skłębioną kępą jeżyn. Piesek towarzyszący dziecku, nie wyczuł jakoś węchem obecności Biernackiej i stanął niespodziewanie naprzeciw niej. Kiedy ją zobaczył - stulił uszy, zaskomlał bojaźliwie i szerokim łukiem ominął starą kobietę. Dziewczynka też się trochę przestraszyła. Dygnęła grzecznie, ale widać było, że wolałaby znaleźć się z daleka

od staruszki. Józefa Biernacka uśmiechnęła się do dziecka. Nie na wiele to pomogło. Mała nadal sprawiała wrażenie, że w każdej chwili gotowa jest rzucić się do panicznej ucieczki, niby kuropatwa niespodziewanie przydybana na polnej ścieżynce między zbożami, przez przypadkowego przechodnia.

Józefa Biernacka minęła dziewczynkę. Szła nie odwracając się, a dziecko przez chwilę odprowadzało wzrokiem jej oddalającą się, zgarbioną sylwetkę. Dopiero po kilkunastu sekundach lęk zniknął z dziewczęcej twarzyczki. Także piesek odzyskał nagle rezon. Odwrócił się w stronę oddalającej się kobiety i wybuchnął zjadliwym, histerycznym szczekaniem. Biernacka nie zwróciła na to uwagi. Od lat była przyzwyczajona, że dzieci się jej boją, a wszystkie psy darzą szczerą i głęboką, podszytą strachem, nienawiścią.

Chata Józefy Biernackiej była ostatnia w szeregu. Obejście otaczał koślawy parkanik, którego współpróchniałe sztachety pokryte były gęstymi plamami mchów i porostów. Wokół drewnianej, krytej papą chatynki rosło kilka karłowatych, bezlistnych teraz jabłonek i kępy jeżyn, tworzących nieprzebytą plataninę splecionych z sobą tysięcy kolczastych gałązek. Stojąca w pewnym oddaleniu od chatki stodoła, rozpadała się. Jej dach był pełen od lat niełatanych dziur. Józefa Biernacka przed wieloma laty oddała ziemię „za rentę” i od tego czasu nie zajmowała się już gospodarstwem. Nie uprawiała nawet przydomowego ogródka i nie hodowała kur.

Podeszła do furtki w parkanie. Przełożyła rękę na jej drugą stronę i odemknęła drewniany skobelek. Weszła do obejścia. Spod leżącego pod progiem kamienia, wyjęła ukryty klucz. Otworzyła drzwi, które rozwarły się z przeraźliwym zgrzytem od lat nieoliwionych zawiasów. Weszła do środka.

Mieszkanie Józefy Biernackiej składało się z kuchni i izby mieszkalnej. W kuchni stał wielki węglowy piec z ogromnym okapem, zwisającym nisko nad żeliwnym blatem kuchennego paleniska. Był tu także stary, obłazący płatami spękanej farby kredens, drewniany stół, kilka kulawych krzesłek i szeroka ława, na której stał rząd wiader. Spod belkowanego sufitu zwieszały się gęste festony wyschniętych ziół. Ich ostre, oszałamiające wonie wypełniały niską izbę bukietem leśnych zapachów.

Józefa Biernacka położyła na stole siatkę z bochnem chleba. Ściągnęła wyszarzałą jesionkę i powiesiła ją na haku wbitym w drzwi wejściowe. Od kilku dni staruszka była zaziębiona i czuła się źle. Była też zmęczona. Wyprawa do oddalonego o pięć kilometrów wiejskiego sklepiku, kosztowała ją wiele wysiłku. Jeszcze do niedawna jeździła tam rowerem, ale w zeszłym tygodniu rower się zepsuł. Łańcuch stale spadał i Biernacka nie potrafiła temu zaradzić. Rower stał teraz w przylegającej do chatynki komórce i czekał, że znajdzie się ktoś, kto go naprawi.

Józefa była zziębnięta i drżała z zimna. Postanowiła napić się herbaty. Blaszanym półkwatkiem zaczerpnęła wody ze stojącego na ławce kubła i wlała ją do wnętrza wielkiego czajnika, z którego w wielu miejscach obłaziła zielona emalia. Pogrzebaczem przegarnęła palenisko. Rozpaliła ogień. Na buchający ogniem otwór w czarnym kuchennym blacie postawiła czajnik. Z kredensu wyjęła duży, porcelanowy kubek z ubitym uchem. Z metalowego kolorowego pudełka, wsypała do kubka trochę herbacianych liści. Potem usiadła na stołku obok kuchennego pieca i wsłuchując się w poszum buzującego w palenisku ognia czekała, aż woda w czajniku zawrze. Nadal czuła się bardzo źle. Po plecach przelatywały jej lodowate dreszcze, a kiedy kaszłała, kłuło ją lekko w obu bokach. Wreszcie woda w czajniku zagotowała się. Biernacka zalała

herbaciane liście wrzątkiem i ujmując kubek w obie dłonie, grzejąc sobie o niego palce, przeszła z herbatą do pokoju.

Pokój był dość duży. W niewielkich okienkach wisały gęste, białe firaneczki. W przeciwieństwie do kuchennej, podłoga w pokoju była bardzo czysta i wypastowana. Oprócz starannie zaścielonego dużego łóżka, niewielkiego, pokrytego obrusem stołu i dwóch krzeseł, w pokoju była także szafa „na wysoki połysk” i długa niby jamnik komoda, należąca do zupełnie innego meblowego kompletu. Na komodzie znajdowało się wielkie, staroświeckie radio, przykryte haftowaną serwetką, a na nim pękaty czerwony budzik. Obok radia stał żelazny krucyfiks i gipsowa figura Madonny, pomalowana błyszczącą białą i niebieską farbą. Wokół szyi Madonny okręcony był różaniec z grubych koralików, a przed figurą w szklanym, udającym kryształ naczyniu sterczały sztywno trzy białe lilie z plastyku. Na wyklejonych kolorowymi tapetami ścianach wisiało kilka oprawnych w wąskie, pozłacane ramki obrazów. Największy z nich to ślubna fotografia Józefy. Otulona w muślinowe welony i zwieńczona wiankiem, mocno wyretuszowana twarz kobiety na zdjęciu, mało przypominała obecny wygląd Biernackiej. Jej nieżyjący od lat mąż prezentował się na ślubnym portrecie niezbyt ineresująco. Sprawiał wrażenie mocno wystraszonego, a jego niewielkie, załzawione oczka wpatrywały się w przestrzeń z wyrazem bezmyślnego osłupienia. Drugi obrazek przedstawiał papieża Jana Pawła II. Była to kolorowa fotografia, wycięta z jakiegoś ilustrowanego pisma i oprawiona w starą ramkę. Trzecim obrazkiem było powiększone amatorskie zdjęcie. Wykonano je przed chatą Józefy Biernackiej. W jej proggu stała Józefa w chustce na głowie, sztywna i wyprostowana, z ogromnym skupieniem wpatrywała się w obiektyw aparatu. Obok niej wspierała się o uśmiechniętego, młodego mężczyznę w kraciastej koszuli, ładna kobieta w kwiecistej, letniej

sukience. Przed tą parą przykucnęło dwoje dzieci: dziewczynka z mysimi warkoczykami i maleńkie, najwyżej roczne dziecko przytulające do siebie wielkiego, pluszowego misia.

Józefa Biernacka usiadła przy przykrytym obrusem stole i popijała z porcelanowego kubka gorzką, słabą herbatę. Dreszcze nie ustępowały. Pijąc, od czasu do czasu zerknęła na ścianę, na zbiorowe zdjęcie, na którym sfotografowano ją wraz z córką, zięciem i wnuczetami. Z czułością pomyślała o wnukach. Jak wszystkie babcie, kochała swoje wnuczeta i kiedy w lecie córka wraz z nimi zjawiała się w starej chatce, Józefa czuła się najszcześniejszą kobietą na świecie.

Niestety, wizyty bywały rzadkie i raczej krótkie. Okolica była piękna, dzieci czuły się u babci doskonale, ale Krystyna mocno narzekała na brak wygod, do których przywykła w mieście. Zresztą było na co narzekać. Już sam nocleg sprawiał problemy. Krystyna spała z Mareczkiem w łóżku Józefy, Marcie rozstawiano połowe łóżko, z którego dziewczynka czasem spadała, a sama Józefa musiała zadowolić się wypchanym słomą siennikiem, który na noc wnoszono z komórki do izby kuchennej.

Za każdym razem, kiedy po najwyżej tygodniowym pobycie Krystyna wraz z dziećmi wyjeżdżała, Józefa Biernacka przeżywała dramat rozstania. Nigdy nie dawała tego po sobie poznać, gdyż nie lubiła uzewnętrzniać uczuć.

Pijąc herbatę, przypominała sobie ostatnią wizytę Krystyny. Przyjechała tylko z Mareczkiem, wnuczki nie było. Krystyna tłumaczyła, że Marta wyjechała na obóz, ale Józefa wyczuła w jej głosie fałszywy ton. Domyśliła się, że córka przed nią coś skrywa, że ma jakieś kłopoty, a kłopoty te wiążą się z Martą.

W pewnej chwili zdecydowała się zapytać o to wprost. Krystyna gorąco i gorliwie zapewniała matkę, że wszystko

jest w jak najlepszym porządku. Ale robiła to tak niezręcznie i nieprzekonywująco, że Józefa nie miała już nawet cienia wątpliwości, iż córka kłamie. Nie pytała jednak więcej. Uznała, że Krystyna ma prawo do swoich tajemnic.

Kiedy córka zegnała się z nią przed odjazdem, Józefa serdecznie ją objęła i mocno przytuliła do swej piersi. Krystyna była tym bardzo zaskoczona. Nie przywykła do takich czułości ze strony matki. Niemniej odpowiedziała serdecznym uściskiem.

— Będę się za was modliła — powiedziała Józefa — za was wszystkich, a zwłaszcza za Martę...

Krystyna spojrzała na matkę, a w oczach jej pojawiły się łzy. Chciała coś powiedzieć, ale już nie zdążyła. Rozległ się głośny i przeciągły dźwięk klaksonu. To mąż Krystyny, magister Roman Jaworski, siedząc za kierownicą beżowego fiata 126 p, którym przyjechał po żonę i synka, mocno się zniecierpliwiał przedłużającą się sceną pożegnania. Także siedzący na tylnym fotelu wozu Mareczek dawał rączkami gwałtowne znaki, aby mama skończyła wreszcie te przydługie siuchtania z babcią i wsiadła do samochodu.

Przynaglana w ten sposób Krystyna wyswobodziła się łagodnie z objęć matki, uśmiechnęła się do niej smutno i odeszła w stronę samochodu. Kiedy mały fiacik ruszył gwałtownie, podskakując zabawnie na wybojach wiejskiej drogi i zostawiając za sobą gęsty tuman kurzu, Józefa Biernacka przeżegnała oddalający się samochód znakiem krzyża, a w sercu jej obok żalu, który odczuwała zawsze, gdy zegnała córkę, pozostał gwałtowny niepokój. Instynktownie czuła, że w życiu Krystyny zaszło coś bardzo niedobrego. Od tego dnia codziennie modliła się żarliwie w intencji swojej rodziny.

Wielekroć budziła się w niej pokusa, aby — zapominając, że na Jasnej Górze poprzysięgła uroczyście nigdy tego

więcej nie czynić — jednak pójść w owe trudno dostępne miejsce w sercu lasu, gdzie nie była już tak dawno i zwrócić się z prośbą o pomoc do tych mocy, których się kiedyś solennie wyrzekła i wyparła.

Pokusa była silna, ale strach przed wiecznym potępieniem, o którym tak przekonywująco i sugestywnie opowiadał spowiadający ją na Jasnej Górze paulin, był jeszcze silniejszy i sprawiał, że potrafiła ją przewyciężyć. Modliła się tylko coraz częściej i coraz żarliwiej, ale modlitwy nie potrafiły stłumić jej obaw.

W ostatnich dniach ów nieokreślony niepokój, nękający Józefę uporczywie niby ćmiący, dokuczliwy, nigdy nie wygasający ból zęba, jeszcze się wzmógł. Stał się nagle głównym odczuciem wypełniającym jej myśli. Dziś zwłaszcza ten niepokój był niezwykle silny, natarczywy i wręcz trudny do zniesienia. Józefa czuła, że córka jej bardzo potrzebuje i w jakiś niewytłumaczalny sposób wysyła do niej rozpaczliwe wołania o pomoc. Wiedziała, że powinna coś zrobić, w jakiś sposób przekonać się czy córce i wnuczce nic nie grozi. Nie mogła już dłużej wytrzymać dręczących ją obaw.

Zdecydowanym gestem odsunęła od siebie kubek z niedopitą herbatą i ciężko, z wysiłkiem uniosła się z krzeselka. Poczłapała do komody i wysunęła jedną z jej szuflad. Tam, wśród starannie złożonej i wyprasowanej bielizny pościelowej, obok mocno podniszczonej książeczki do nabożeństwa leżała talia kart. Józefa popatrzyła na karty, a potem z wahaniem wysunęła w ich kierunku swoje starcze, pokryte żółtymi plamami dłonie. W ostatniej chwili zatrzymała się: Nie! Nie będzie tego robiła!...

Kiedyś wywróżyła sobie śmierć męża. Było to okropne doświadczenie. Jej mąż był leśniczym, mężczyzną zdrowym i krzepkim. Młodym jeszcze. Krysia miała dopiero wówczas pięć lat.

Pewnego dnia Józefa z nudów postawiła sobie kabałę. Z układu kart niedwuznacznie wynikało, że przy jej mężu stoi śmierć. Nie przejęła się tym, bo nie mogła w to uwierzyć... Jej „kabały” często się sprawdzały, Józefa wiedziała o tym, ale śmierć męża, który był okazem zdrowia, wydała się jej czymś absurdalnie nieprawdopodobnym.

Umarł jednak cztery dni później. Na leśnej przecince zaatakował go znieczeka, raniony dzień wcześniej w czasie polowania, wielki odynec - samotnik. Dzik dosłownie rozerwał brzuch leśniczemu swoimi ostrymi jak brzytwa szablami. Od tej pory Józefa poprzysięgła, że nigdy, ale to nigdy nie będzie wróżyła sobie ani swoim najbliższym.

I tym razem więc, zamiast po karty, ręka jej sięgnęła jednak po książeczkę do nabożeństwa. Józefa była stara, ale wzrok miała jeszcze nadspodziewanie dobry. Przy dobrym oświetleniu potrafiła nadal czytać bez okularów. W pokoju było jednak już dość ciemno, więc ustawiła krzesło tuż przy oknie.

Otworzyła książeczkę na stronie, na której wydrukowano tekst loretańskiej litanii. Przeżegnała się w skupieniu i rozpoczęła półgłosem solenne modły. Nie dane jej było jednak ukończyć litanii. Kiedy odczytywała właśnie słowa: „wieżo z kości słoniowej módl się za nami”, wydało jej się, że słyszy jakiś głos. Przerwała modlitwę i zaczęła nasłuchiwać. Tak. Rzeczywiście to był głos. Ktoś wykrzykiwał jej nazwisko. Wołanie dobiegało z zewnątrz. Okno, przy którym siedziała Józefa wychodziło na wewnętrzne podwórko obejścia. Józefa podniosła się z krzesła i kaszląc, poczłapała do drugiego okna.

Przy furtce w płotku, stał wsparty o rower mężczyzna, w ciemnej kurtce i skórzanej czapce pilotce. Józefa poznała go. Był to listonosz, który zawsze przynosił jej rentę. Tym razem w ręku trzymał białą kopertę. Józefa podreptała do

kuchni i uchyliła drzwi na zewnątrz. Listonosz na jej widok wykrzyknął:

— Biernacko! Czyście ogłuchli?! Wołam was i wołam.

— A o co chodzi? Rentę to ja już w tym miesiącu miałam.

— Mam list do was, Biernacko. Express z Warszawy.

— To pewnie będzie od córki.

— Ja tam nie wiem od kogo. Nie moja sprawa. Ale pozwólcie tu, Biernacko. Musicie podpisać. Bo to nie tylko express, ale i polecony na dodatek.

Biernacka szerzej uchyliła drzwi i kurcząc się z zimna, wyszła na zewnątrz. Jej serce ścisnęło boleśnie złe przeczucie.

X X X

Czarnoskóry doktor Archibald Hercules Spencer skulił się odruchowo, kiedy wyszedł z ciepłego wnętrza srebrzystego boeinga Brytyjskich Linii Lotniczych i na stromych schodkach wiodących w dół, owionął go pierwszy podmuch grudniowego, warszawskiego powietrza. Doktor Spencer, pędzący życie pod bezchmurnym i słonecznym niebem Jamajki, nie znosił zimna i bał się go. Zimno, wydawało mu się czymś potwornym, trudnym do zniesienia i głęboko sprzecznym z naturą rzeczy. Doktor Archibald Hercules Spencer bywał wielokrotnie w Stanach Zjednoczonych, ale szlaki jego podróży wiodły zazwyczaj do słonecznej Kalifornii lub na Florydę, gdzie jest zawsze ciepło. W Nowym Yorku bywał w lecie, a dwukrotne pobyty w Europie wypadły akurat w okresie szczytu letnich upałów.

Tak naprawdę, to po raz pierwszy w życiu doktor doświadczył zimna przed kilku godzinami na londyńskim lotnisku, gdzie wylądował samolot z Jamajki. Było to doświadczenie ogromnie przykre, po którym przez dłuższy czas nie mógł przyjść do siebie. Tu, w Warszawie, było jeszcze gorzej, daleko gorzej, wręcz okropnie! Niskie, ołowiane chmury przesuwały się szybko nad lotniskiem, szarpane na strzępy ostrymi podmuchami silnego wiatru, który niósł ze sobą drobniutkie krople marznącego deszczu. Wiatr w jednej chwili przeniknął przez elegancki, kusy płaszczyk i sprawił, że doktor dygotał z zimna. Jego zęby szczękały głośno, a oczy zachodziły łzami. Starał się jak najszybciej zejść ze schodków i był potwornie wściekły, że ludzie idący przed nim poruszają się wolno, niby wielkie

żółwie wodne pełzające po piaszczystych plażach jego ojczystej wyspy.

Przenikliwe, obezwładniające wręcz zimno prawie zatamowało mu oddech. Pełną piersią zdołał zaczerpnąć powietrza dopiero po kilkadziesiąt sekundach, kiedy znalazł się wreszcie we wnętrzu stojącego przy samolocie autobusu. Niebiesko-biały autobus podwiózł pasażerów przed szeroki, niski, przypominający stodołę barak, który w Warszawie pełnił rolę międzynarodowego dworca lotniczego. Doktor był tak zaszokowany pierwszym zetknięciem z grudniowym zimnem, że właściwie nie zwracał na nic uwagi.

Na szczęście w hali, gdzie oczekiwał na swój bagaż było już znacznie cieplej i doktor przyszedł do siebie. Zauważył, że ludzie gromadzą się obok sunącego półkolem pasa transportera, na którym defilowały wyładowane z samolotu bagaże.

Podszedł tam. Gdzieś po dziesięciu minutach wypatrzył swoją jasną, niewielką walizkę z krokodylej skóry. Uradowany, podniósł ją z transportera i ruszył w kierunku zielonego przejścia dla pasażerów, którzy nie mieli nic do oclenia. Ustawił się na końcu szybko poruszającej się kolejki. Celnicy obojętnie spoglądali na defilujących przed nimi podróżnych. Zatrzymali dopiero doktora. W pierwszym momencie nie zrozumiał o co im chodzi. Ze szczerym zdziwieniem spojrzął na młodego człowieka w ciemnozielonym mundurze i dopiero po chwili dotarło do niego, że ma się zatrzymać.

— Nie mam nic do oclenia — wyjaśnił uprzejmie doktor Spencer — zupełnie nic.

— Rozumiem — celnik skłonił lekko głowę — jednakże chciałbym, aby otworzył pan walizkę.

Doktor Spencer uśmiechnął się i lekko wzruszył ramionami:

— Czyżbym wyglądał na przemytnika?

Celnik nie odpowiedział, tylko wskazał na stojący tuż obok niego stolik.

— Proszę tu położyć swój bagaż.

Doktor Archibald Hercules Spencer przestał się uśmiechać i umieścił walizkę na stole.

— Proszę ją otworzyć — powiedział celnik.

Doktor długo szukał w wewnętrznej kieszeni marynarki, a w końcu wyciągnął z niej płaski kluczyk, do którego przymocowany był breloczek, w kształcie wyszczerzającej zęby trupiej czaszki. Nie spiesząc się, otworzył nim dwa zameczki walizki. Odemknął wieko i odsłaniając zawartość bagażu, uśmiechnął się szeroko do celnika.

Celnik spokojnymi, wprawnymi ruchami zaczął przekładać zawartość walizki. Jego ręce były szybkie i sprawne. W walizce znajdowała się przede wszystkim bielizna, głównie koszule, wzorzysty szlafrok, pudełko z przyborami toaletowymi, sandały i złożona starannie jaskrawopomarańczowa marynarka. Pod marynarką leżały trzy niewielkie woreczki związane rzemyczkami z cienutkiej, delikatnej skóry. Celnik wskazał palcem na woreczki i zapytał:

— Można wiedzieć cóż to takiego?

— Rzeczy osobiste — uśmiech zniknął z twarzy doktora.

— Zresztą sam pan może zobaczyć.

Celnika nie trzeba było zachęcać. Sprawnie rozsuptał rzemyczek przy pierwszym woreczku. Otworzył go. W środku pełno było jakiegoś ususzonego, pokruszonego ziela. Celnik przyglądał się zawartości woreczka bardzo podejrzliwie. Przysunął go do nosa i powąchał. Poczł mocną korzenną, egzotyczną woń. Nie był to jednak z pewnością zapach marihuany czy haszyszu, ani żadnego ze znanych mu narkotyków. Trochę niepewnie spojrzał na stojącego przy nim Murzyna i spytał:

— A cóż to takiego?

— Zioła. Mieszanka ziołowa wspomagająca trawienie — doktor Spencer wyszczerzył w uśmiechu dwa rzędy olśniewająco białych zębów, kontrastujących ostro z głęboką czernią skóry jego twarzy. — Te zioła pije się codziennie rano, przed śniadaniem. Jedną łyżeczkę ziół trzeba wrzucić do szklanki i zalać wrzącą wodą.

Celnik z poważną miną zasupłał z powrotem rzemyczek i umieścił woreczek na dnie walizki. Sięgnął po następny woreczek, otworzył go i wyłożył jego zawartość na blat stolika. Były to dwie wyrzeżane z jakiegoś ciemnego drewna, niewielkie, płaskie maski przedstawiające twarze wykrzywione w nieludzkim, wręcz diabelskim grymasie. Każda z nich stanowiła centralny element naszyjnika, wykonanego z miedzianego misternie splecionego łańcuszka. Celnik przez chwilę wpatrywał się w maski, z uczuciem gwałtownie narastającego obrzydzenia. Były okropne. Niewypowiedziane ohydne i groźne zarazem. Po plecach przeleciał mu, nie wiedzieć czemu, nieprzyjemny dreszcz. Wzdrygnął się nerwowo. Szybko schował paskudne naszyjniki do woreczka i ściągnął rzemyk. Kiedy położył woreczek na dno walizki, odczuł wyraźną ulgę. Doktor Spencer, choć nie był o nic pytany, pospieszył z wyjaśnieniami:

— W tym woreczku są wyroby ludowych artystów z mojej ojczyzny. Przywiozłem je, jako drobne prezenty dla moich przyjaciół w Polsce.

Celnik pomyślał, że raczej nie byłby zachwycony, gdyby ktoś chciał go obdarować takim wyjątkowym paskudztwem. Nieznacznie wzruszył ramionami i sięgnął po trzeci woreczek.

— Ostrożnie! — wykrzyknął nagle doktor Spencer. — Tam są rzeczy ogromnie delikatne, kruche bardzo... trzeba obchodzić się z nimi bardzo ostrożnie!

Pouczony w ten sposób celnik, bardzo delikatnie wysypał na stolik to co się w woreczku znajdowało. Niełatwo go było czymś zaskoczyć. Przyzwyczajony był do widoku najdziwniejszych przedmiotów znajdujących w kontrolowanych bagażach, ale czegoś takiego jednak jeszcze w życiu nie oglądał. Na połyskujący politurą blat stolika wysypało się kilkanaście białych, drobnych kostek, przypominających kości kurczaka, kilkanaście szarych, niepozornych, bardzo gładkich kamyczków, takich jakich pełno zawsze znaleźć można na każdej nadmorskiej plaży oraz kilka powiązanych mocno czarną nicią kępek kolorowych ptasich piórek. Na kościach i kamykach namalowane były jakieś kolorowe punkciki i znaki.

Celnik pytająco zerknął na doktora Spencera, ale tym razem właściciel dziwnego woreczka nie zdradzał najmniejszej chęci do składania żadnych wyjaśnień. Uśmiechał się tylko leciutko i wpatrywał się w celnika z dobrotliwą ironią.

— A cóż to takiego jest? — zdecydował się zapytać celnik.

— Są to rzeczy osobiste — spokojnie odparł doktor Spencer.

— Ale co to takiego?! — nie ustępował mężczyzna w mundurze.

— Sam pan widzi. Ptasie piórka, kamyki i kości kurczęcia.

— Kurczęcia?... — bezmyślnie powtórzył celnik.

— Tak, proszę pana. Czy mam za nie zapłacić cło? — doktor Spencer znowu obnażył w uśmiechu swoje nieprawdopodobnie białe zęby.

Celnik wzruszył ramionami. Chciał włożyć do woreczka rozrzucone po stoliku przedmioty. Doktor Spencer powstrzymał go energicznie:

— Pan pozwoli! Sam się tym zajmę.

Celnik nie miał nic przeciwko temu. Doktor sprawnie zebrał wszystkie przedmiociki, wrzucił je do woreczka i starannie zasupłał rzemyk.

— Może pan już zamknąć walizkę — powiedział celnik. — Życzę przyjemnego pobytu w naszym kraju.

Doktor Spencer w odpowiedzi skinął uprzejmie głową i nadal się uśmiechając, schował woreczek do walizki, a następnie zamknął ją na kluczyk. Potem, z walizką w lewej ręce, a z paszportem w drugiej, ruszył w kierunku ciasnego przejścia, gdzie tłoczyli się pasażerowie spieszący do wyjścia.

W pewnym oddaleniu, za szklaną przegrodą w hali dworca stali ludzie, oczekujący na przybyszów z dalekiego świata. Były wśród nich trzy wyraźnie podniecone i zdenerwowane kobiety, w wieku średnim. Przepchnęły się energicznie jak najbliżej szyby, przez którą widać było halę odpraw celnych i pilnie wypatrywały człowieka, na którego oczekiwały. Nigdy przedtem nie widziały doktora Archibalda Herculesa Spencera, ale od miesiący znały już jego fotografię. Wypatrzyły go więc szybko, już wtedy, kiedy czekał przy transporterze podającym bagaże.

Zauważyły jak znalazł swoją walizkę i przypatrywały się, gdy kontrolowany był przez celnika. Ta kontrola wprawiała je w panikę. Pobladłe i zdenerwowane, zaciskały nerwowo pięści i zagryzały wargi. Najmłodsza z nich była aż tak przestraszona, że zrobiło się jej ciemno przed oczami. Obraz Murzyna, któremu celnik grzebie w walizce, rozmył się i zniknął. Zastąpiła go wszechogarniająca czerń, a pomieszane dźwięki wypełniające wnętrze dworca, nagle przestały istnieć. Słyszała tylko mocne bicie własnego serca i łomotanie krwi w skroniach. Kiedy już wydawało się jej, że ostatecznie zemdleje, jakby z niezmierzonej oddali przebił się do jej świadomości głos jednej ze współtowarzystek.

Dopiero po jakimś czasie dotarło do niej znaczenie usłyszanych słów:

— Wszystko w porządku — mówiła tamta — już zamyka walizkę...

Wtedy na nowo odzyskała wzrok — zobaczyła, jak doktor uśmiechając się szeroko — odchodzi od celnika, trzymając w jednym ręku walizkę, a w drugim paszport.

Pospiesznie przesunęły się w kierunku wąskiego przejścia, gdzie pojawiali się ci pasażerowie, którzy przeszli już zarówno kontrolę celną jak i paszportową. Po chwili w wąskich drzwiach zobaczyły doktora Spencera. Przeszedł kilka kroków, zatrzymał się, postawił walizkę obok nóg i rozejrzał się dookoła.

Podbiegły do niego pospiesznie. Najmłodsza z nich, ta która tak bardzo przeraziła się, widząc celnika grzebiącego w walizce doktora, skłoniła lekko przed nim głowę i zapytała po angielsku:

— Czy pan doktor Spencer? Pan doktor Archibald Hercules Spencer z Jamajki? — i nie czekając na odpowiedź, dodała szybko. — Serdecznie witamy w Warszawie. — Następnie, jako że była kobietą mocno egzaltowaną, niewiele myśląc, chwyciła oburącz prawą, ozdobioną wieloma złotymi pierścieniami dłoń doktora i pochylając się głęboko, złożyła na niej pełen czci pocałunek.

Ludzie zgromadzeni w hali byli tak zajęci wypatrywaniem tych, na których oczekiwali, że nawet nie zauważyli tego, co uczyniła ta kobieta. Tylko jakiś chudy, piegowaty wyrostek w zabawnej, kolorowej czapeczce na czubku głowy, aż otworzył usta ze zdumienia i nie mógł oderwać oczu od zgiętej w czołobitnym ukłonie, elegancko ubranej kobiety w wieku średnim, która z pokorną unizonością obcałowywała dłoń barczystego, wysokiego faceta w kusym gabardynowym płaszczu. Czarny